Nr. 33. Sobota, 12-go sierpnia 1911. Rok XI

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę dziesiątą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XII, wiersz 2—11.

Bracia! wiecie, iż gdy poganami byliście, do niemych bałwanów jako was prowadzono szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w duchu Bożym mówiąc, nie mówi przeklęstwa Jezusowi, a żaden wymówić nie może Pan Jezus, tylko w Duchu św. Różności darów są: lecz tenże Duch. I są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku pożytkowi. Jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości, a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu, drugiemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Jednemu czynienie cudów, drugiemu proroctwo: innemu rozeznanie duchów, temu rozmaitość języków, a owemu tłómaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden Duch, udzielając z osobna każdemu jako chce.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XVIII, wiersz 9—14.

Onego czasu mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby byli sprawiedliwymi, a innymi gardzili, to podobieństwo: Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili; jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Dziękuję tobie Boże, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Postem trapię się dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik stojąc z daleka, nie chciał ani oczu podnieść w niebo, ale się bił w piersi swoje, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Zaprawdę powiadam wam, że ten odszedł usprawiedliwiony do domu swego więcej, niźli on. Albowiem, ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżony, a kto się uniża, będzie podwyższony.

NAUKA.

Przypowieść o faryzeuszu i o celniku tłómaczy nam, jak wstrętną jest w oczach Bożych pycha, a jak cenną pokora. Widzimy tu bowiem, jak Pan Bóg dla zarozumiałości faryzeusza gardzi jego postami i ofiarami różnemi i nie ma na nie względu, gdy przeciwnie nawet grzechy przebacza celnikowi dla jego pokory. Lecz niestety! chociaż tę przypowieść dobrze wszyscy znamy, bośmy ją nieraz słyszeli, choć rokrocznie odczytując ją w niedzielę dzisiejszą Kościół święty, powtarza i owe Chrystusowe nieodmienne słowa: „Ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżon, a kto się uniża, będzie podwyższon” (Łuk. XVIII, 14), ileż to jeszcze pomiędzy nami zarozumiałości i pychy. A przecież nie pysznić się nam i wynosić, lecz raczej upokarzać, boć i czemże sami ze siebie jesteśmy? Prochem marnym, który tylko wola Boża ożywia i utrzymuje na świecie. A skoro tak, to pytam słowy Pisma św.: „Przecz że się pyszni ziemia i popiół?” (Eslk. X, 9). Nie gardzić na wzór faryzeusza bliźnim, boć i on podobnie jak i my dzieckiem jest Bożem na podobieństwo tego Boga stworzonem. Wszak wszystkich nas wspólny jest początek. To też te dwie prawdy dziś wam chcę przypomnieć, rozważając w tym celu naukę Kościoła o stworzeniu ludzi.

Różnych a przeróżnych niedorzeczności nawymyślali mędrkowie tego świata odnośnie do początku i pochodzenia człowieka. Wszystko to jednak w tym celu tylko, aby nie uznać Pana Boga nad sobą i w ten sposób uwolnić się od zależności od Niego. Dociekanie ich bowiem zupełnie jest zbyteczne, gdyż Pan Bóg nie zakrył przed nami początku rodzaju ludzkiego, ale jak powstanie całego świata, tak też i pochodzenie człowieka raczył jak najdokładniej objawić przez sługę Swego Mojżesza. Jak więc poucza zaraz pierwsza księga Pisma św., człowiek ani nie powstał sam ze siebie, jak to twierdzili jedni, ani też skutkiem ciągłego rozwoju świata zwierzęcego, jak znowu dowodzili inni, lecz początek swój i istnienie swoje zawdzięcza Panu Bogu. Pan Bóg stworzył człowieka i to nie małpą, ani innem niższego rzędu zwierzęciem, lecz od razu człowiekiem.

Stało się to już na samym ostatku, a więc w szóstym dniu stworzenia. Kiedy już było niebo i ziemia, a na niebios błękicie świeciło słońce, jaśniał księżyc, migotały gwiazdki, na ziemi zaś zieleniły się trawy, krzewy i drzewa, a wszędzie roiło się od zwierząt i różnorodnych żyjących tworów, Pan Bóg oglądając to wszystko i widząc, że było dobrze, rzekł: „Uczyńmy człowieka”. Zaznaczył też zaraz, jakie stanowisko miał człowiek zajmować między wszystkiemi stworzeniami na ziemi, bo dodał: „A niech przełożony będzie rybom morskim i ptactwu powietrznemu i zwierzętom i wszystkiej ziemi i nad wszelkim płazem, który się czołga po ziemi” (Rodz. I, 26.) Jakkolwiek jednak już przez to wyszczególnił Pan Bóg człowieka i ponad wszystkie inne stworzenia go wyniósł, nie poprzestał na tem. Ten człowiek, w którym w szczególniejszy sposób miało być odbite wyobrażenie i podobieństwo Boże, który miał być królem wszystkiego ziemskiego stworzenia, nie miał też powstać jak one na jedno słowo wszechmocne „Stań się”, lecz Stwórca sam w szczególniejszy sposób zajmuje się jego stworzeniem. Opowiada bowiem Mojżesz z objawienia Bożego, że potem „utworzył Pan Bóg człowieka z mułu ziemi i natchnął w oblicze jego dech żywota i stał się człowiek w duszę żywiącą” (Rozdz. II, 7). Ulepił Pan Bóg zatem ciało

ludzkie na ziemi, a potem wlał w nie duszę, która je ożywiła. Otworzyły się wtenczas oczy, bić zaczęły tętna, poruszać ręce i nogi i był pierwszy człowiek. Dał mu zaś Pan Bóg imię „Adam", co znaczy tyle, co utworzony ze ziemi.

Posiada zatem człowiek ciało i duszę. Ciało, które jak powstało z ziemi, tak też znów po śmierci w ziemię się obróci, bo uczy Pismo św.: „Wróci się proch do ziemi swej, z której był" (Estes. XII, 7.) Ma też człowiek i duszę obdarzoną rozumem i wolną wolą, a przytem nieśmiertelną, by była obrazem i podobieństwem Boga.

Oprócz tych darów przyrodzonych, tj. należących ściśle do ludzkiej natury, jakimi są ciało nasze i nieśmiertelna dusza, posiadająca rozum i wolną wolę, udzielił Pan Bóg człowiekowi zaraz w tej chwili, kiedy go stworzył także i nadprzyrodzonych darów. Do nich zaś należała w pierwszym rzędzie łaska poświęcająca. Czyniła ona duszę ludzką świętą i nader miłą Bogu. Dlatego to oko Boże z upodobaniem spoczywało na pierwszych ludziach, dlatego to Pan Bóg tak często z nimi rozmawiał w raju. Wyraźnie świadczy o tem św. Paweł Apostoł, który mówi, że człowiek „stworzony w sprawiedliwości i świątobliwości" (Efez. IV, 24). Drugim darem nadprzyrodzonym była głęboka mądrość. Jak czytamy w Piśmie św., kiedy Pan Bóg przywiódł wszystkie zwierzęta do Adama, to tenże „nazwał imionami ich wszystkie" (Rodz. II, 20), taka wielka była w nim znajomość przyrodzonych rzeczy. Poznawał także, choć niedokładnie, rzeczy nadprzyrodzone. Do darów nadprzyrodzonych należało także i to, że pierwsi ludzie wolni byli od pożądliwości, przez co rozumieć należy nietylko nieodczuwanie żadnych nieczystych poruszeń cielesnych, ale i uwolnienie od innych żądz samolubnych. Wszak nie nadarmo wspomina Pismo święte o nich: „A byli oboje nadzy, tj. Adam i żona jego, a nie wstydzili się" (Rodz. II, 25.) Posiadali wreszcie z dobroci Bożej i ten dar cenny, że byli wolni od wszelkich trudów i boleści, a nawet śmierci, bo ciało ich było nieśmiertelne, to znaczy, że gdyby byli nie utracili tego daru nieśmiertelności, nigdyby nie umarli, ale po pewnym czasie przeniósłby ich Pan Bóg żywych do nieba. Wyraźnie bowiem powiada Mędrzec Pański: „Bóg śmierci nie uczynił" (Mądr. I, 13.)

Tak to hojnie wyposażył człowieka Pan Bóg. Tu się nie dziwić, że król Dawid pełen wdzięczności woła do Boga: „Cóż jest człowiek, iż nań pamiętasz? Uczyniłeś go mało co mniejszym od Aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go" (Ps. VIII, 5, 6.) Tu raczej z tymże samym Psalmistą Pańskim ubolewać, że „człowiek, gdy we czci był nie rozumiał", o swej godności zapomniał, bydlętom stał się podobny (Ps. XLVIII, 13.) Żyje bowiem nieraz gorzej niż nierozumne bydlę, jakby nie miał naprawdę rozumu, a wolną wolę swoją czyni niewolnicą przeróżnych zachcianek i namiętności.

Lecz posłuchajmy jeszcze dalej tego opowiadania Pisma świętego o stworzeniu ludzi. Czytamy tam bowiem, iż Pan Bóg, patrząc na Adama, widział, że „nie dobrze być człowiekowi samemu" (Rodz. II, 18.) „Przypuścił tedy twardy sen na Adama, a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego i napełnił ciałem miasto niego. I zbudował Pan Bóg z żebra, które wyjął z Adama, białogłowę i przywiódł ją do Adama" (Rodz. II, 21, 22.) Opowiadanie to Pisma św. nie podoba się wielu mędrkom tego świata i uważają je jako bajeczkę dobrą do zabawiania nią dzieci.

Kto jednak nie po światowemu, lecz po Bożemu zapatruje się na to, co opowiadają księgi Pisma św., ten musi przyznać, że w całem tem działaniu Pana Boga mądrość się Jego przebija. Dopuścił Pan Bóg pierwej sen na Adama, a dopiero gdy Adam zasnął, stworzył niewiastę Ewę, by nie zdawało się Adamowi, że on miał udział w stworzeniu. Utworzył Ewę nie z głowy męża, aby nie przywłaszczała sobie władzy nad nim, skoro mu daną została jako „pomoc podobna jemu" (Rodz. II, 18), ale też i nie z nóg Adamowych, aby jej nie miał za niewolnicę, z którąby mógł się obchodzić swawolnie. Stworzył ją z żebra wyjętego z boku, z tej kości, która się znajduje w pobliżu serca, by ją miłował, jako dozgonną towarzyszkę życia, a tak już w samem stworzeniu zaznaczył P. Bóg, jakie stanowisko ma z woli Jego zajmować niewiasta na świecie.

„Nazwał też Adam imię żony swej Ewa, iż ona była matką wszech żyjących" (Rodz. III, 20.) Jak bowiem opowiada taż sama księga Pisma św.: „Błogosławił im Bóg i rzekł: Roście i mnóżcie się i napełniajcie ziemię" (Rodz. I, 28) i od tych też dwojga ludzi cały ród ludzki swój początek wywodzi. Dlatego to św. Paweł mówi: „I uczynił z jednego wszystek rodzaj ludzki, aby mieszkał po wszystkiej ziemi" (Acta XVII, 26), my zaś wszyscy nazywamy Adama i Ewę pierwszymi rodzicami naszymi. Wobec zaś tak wyraźnych słów Bożych nie mają żadnego znaczenia zarzuty, jakie niewiara podnosi przeciw wspólnemu początkowi rodzaju ludzkiego, to z różności języków, to wreszcie z różności zachodzącej pomiędzy rasami ludzi. Jak bowiem wykazały liczne doświadczenia, dadzą się one wytłomaczyć nawet wpływem klimatu.

Taki więc zatem jest początek ludzki. Z prochu powstaliśmy, bo z mułu ziemi stworzył Bóg ciało ludzkie, prochem mizernym jesteśmy, w prochu nam tedy kroczyć się przed majestatem Bożym należy. Jak jeden Bóg jest ojcem naszym w niebie, tak tu na ziemi również od jednego wspólnego ojca Adama i jednej wspólnej matki Ewy wszyscy się wywodzimy. Słusznie tedy można zapytać z Malachiaszem prorokiem: „Czemuż tedy gardzi każdy z nas bratem swoim? izali nie jeden Bóg stworzył nas?! (Malach. II, 10.) Pamiętajmyż więc o tem zawsze, a nie pójdziemy nigdy śladem faryzeusza dumnego, Bóg zaś patrząc na życie nasze pełne pokory dopełni tego, co przyobiecał, że „kto się uniża, będzie podwyższon". Amen.

Ks. Fr. Miklasiński.

NA WNIEBOWZIĘCIE.

ZDROWAS MARYA.

Na zachód idzie złocista zorza,
Zdrowaś Marya, Mateńko Boża!
Królowo jasna nad aniołami,
Co siejesz kwiaty między zbożami,
Co złocisz w polu pszeniczne kłosy,
I srebrzysz plony kroplami rosy.
Co siejesz w lasach zioła pachnące,
Stroisz jagody w barwy błyszczące,
Rozwijasz lilie ponad wodami!
Zdrowaś Maryo, módl się za nami.

— Czy to tak srebrne strumienie cieką,
I szum rozbrzmiewa w echu daleko?

Czy na fujarce kto gra z wierzbiny?
Czy to tak w gniazdku gwarzą ptaszyny?
Czy tak szum wiatru las górą niesie?
Czy kto tam huka zbłąkany w lesie?
Ni to gwar ptaków, strumień na łące,
Jeno to dzwonów echo grające,
Płynie łąkami, płynie lasami...
Królowo jasna nad aniołami,
A słowo ciałem! — Zdrowaś Marya,
Echo się dzwonów aż w niebo wzbija,
Do Ciebie płynie Mateńko Boża.
A zaświeć że nam jak jasna zorza,
I pokrzep dusze, jak te na łące
Odżywiasz kwiaty od żaru mrące,
Te białe lilie ponad wodami!
Zdrowaś Maryo, módl się za nami.

Apostoł trzeźwości.

W maleńkim, czystym domku siedziała naokoło stołu rodzina, złożona z matki i dziewięciorga dzieci, które wesoło rozmawiały, śmiały się i żartowały. Matka patrzała z miłością na swoje „stadko kurcząt", jak nazywała gromadkę.

Nagle matka zamyśliła się, przestała mięszać się do rozmowy dzieci, jak gdyby zapomniała na chwilę, że one są wokoło niej.

— Co ci jest, mamo! O czem ty myślisz! Czy trapi cię smutek jaki! — pytały dzieci.

— Nie dziatki — odpowiedziała matka — zmartwienia żadnego nie mam, a tylko ogarnął mnie niepokój o waszą przyszłość. Myślałam sobie, co z wami będzie, jak dorośniecie. Tylu was mam, każdy myśli sobie, czem zostanie kiedyś. Jeden chce być rolnikiem, drugi kupcem, trzeci doktorem itd. Żaden zaś nie pragnie zostać księdzem, pracować dla Boga, służyć sprawie Bożej na ziemi.

Dzieci milczały.

— Smutno mi — mówiła dalej matka. — Nie umiałam, widać, wychować was dobrze, kiedy żaden nie okazuje chęci do służenia wielkiej sprawie.

Jeden z chłopaków zerwał się z miejsca, zbliżył się do matki i zawołał:

— Nie smuć się, mamo! Ja będę księdzem.

Inne dzieci zaczęły się śmiać.

— Ty masz być księdzem! Taki pieszczoszek mamy! To za trudny zawód dla ciebie.

— A zobaczycie, że będę księdzem. Powiedziałem mamie, że będę, to i będę.

Matka objęła swego ukochanego syna i, gładząc go mile po główce, powiedziała:

— Wierzę tobie, Teobaldzie. Ty masz dobre serce. Kochasz Boga i ludzi, może z ciebie być dobry ksiądz.

Kilka lat upłynęło. Teobald wyrósł i sumiennie wypełnił obietnicę swoją. W 1814 roku w dzień Wielkanocy w Dublinie, stolicy Irlandyi, otrzymał święcenia kapłańskie. Matka, ucieszona niezmiernie, gorąco się modliła w czasie pierwszej Mszy św. syna swego:

— Dziękuję Ci, o Boże! Dałeś mi największą radość. Syn mój służyć będzie najważniejszej sprawie na ziemi. Daj mu łaskę Twoją, żeby święcie wypełnił swoje powołanie.

Pierwsze kazanie wypowiedział ksiądz Teobald Metieu w małym miejskim kościółku na słowa Ewangelii św.: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez igielne ucho, niż bogaczowi wejść do Królestwa Bożego" (Mat. 19, 24).

— Największe nieszczęście spoczywa tu nie w bogactwie, a w ludziach — mówił O. Metieu. — Bogactwo jest darem Bożym, my tylko źle go używamy. Im człowiek bogatszy, tem łatwiej dogadzać mu swoim zachciankom, tem trudniej zwyciężać pokusy. Kto jest uboższy, chciałby czasem może dogodzić sobie nadto, ale wstrzymać mu się łatwiej z powodu braku środków. Bogaty zaś idzie całe życie, jak gdyby po śliskiej drodze: musi sam siebie wstrzymywać od upadku. Powinniśmy wszyscy pamiętać, że wszystko, co posiadamy, jest Boskie, a nie nasze, że nam wypadnie zdać kiedyś rachunek przed Stwórcą.

Po nabożeństwie poszedł do O. Teobalda pierwszy bogacz miejski i powiedział:

— Dziękuję Wam, przewielebny Ojcze. Zrozumiałem teraz znaczenie słów Chrystusa o bogactwie. Niech Wam Bóg pomoże, żebyście jak największej ilości ludzi pomogli przejść przez igielne ucho. Tylko to sprawa trudna, bo tak przyzwyczailiśmy się do myślenia tylko o sobie, że życie zmienić niełatwo.

— Pracujmy — odpowiedział O. Teobald. — Nasza rzecz uprawiać rolę, zasiewać na niej ziarno, a Bóg myśli o urodzaju. Pracujmy, a Bóg nam pomoże.

Pracował też O. Teobald, ile mu sił starczyło. Przyjmował ludzi u siebie, sam odwiedzał chorych, cieszył cierpiących, rad nie odmawiał, a tyle miał pracy, że często upadał ze znużenia.

Pewnego dnia O. Teobald pracował od szóstej zrana do południa, jeździł do chorego, ochrzcił dziecko, nabożeństwo odprawił, mówił kazanie. Był naczczo i słabo mu się robiło od zmęczenia.

Wtem u drzwi kościoła spotkał czterech majtków.

— Ojcze, wyspowiadaj nas, odjeżdżamy w daleką podróż.

— A gdzieżeście byli, żeście się w porę do spowiedzi nie wybrali — zapytał z niezadowoleniem O. Teobald. — Teraz jestem bardzo zmęczony. Przychodźcie jutro zrana.

— Ojcze — odrzekli majtkowie — mieliśmy mnóstwo roboty przy budowie okrętu, gospodarz nasz jest człowiekiem niedobrym, nie pozwolił nam odejść przed ukończeniem roboty, a jutro o świcie ruszamy w podróż.

Ojciec Teobald, pomimo, że upadał ze znużenia, wrócił do kościoła, wyspowiadał majtków, udzielił im Komunii św., zabrał do siebie, nakarmił i wtedy odeszli, dziękując i błogosławiąc dobrego księdza.

Po kilku latach ciężkiej pracy na prowincyi w małej wioseczce O. Teobald przeniesiony został do dużego miasta Cork. Tu zaczął pracować jeszcze usilniej. Zdawało się, że w ciągu dnia niema ani jednej wolnej chwili: to był zajęty jakąś ważną sprawą, to czytał coś budującego, to znów prowadził poważną rozmowę.

Powtarzał często: „korzystajmy z czasu, życie przeminie prędko".

Przyjaciele jego zrozumieć nie mogli, skąd on bierze siły do tak wytężonej pracy. Mówili mu często:

— Dlaczego wy, Ojcze, wstajecie tak wcześnie. Trzeba szanować zdrowie. Przecie nikt was nie zmusza.

— Nie można inaczej — z przekonaniem odpowiedział O. Metieu. — Posłuchajcie, jak wcześnie dzwonią w pobliskiej fabryce. Jeżeli kto się spóźni, musi płacić karę. Gdybym był tam, wstawałbym także o czwartej i niktby się temu nie dziwił. Dlaczegoż dziwicie się, jeżeli ja staram się służyć Bogu, który jest

Gospodarzem nas wszystkich, z równą pilnością, jak robotnik służy właścicielowi fabryki.

W czwartym roku pracy Ojca Teobalda w Cork wybuchł straszny tyfus w mieście. Ludzie zapadali setkami na tę chorobę. Ojciec Metieu poświęcał się cały na usługi chorym. Zbierał ludzi codzień do kościoła i po Mszy św. przemawiał do nich: Mówił, że nieszczęście to trzeba znosić cierpliwie, a starać się o czystość duszy i ciała. Czas zbywający poświęcał chorym, przy których łożu niejedną godzinę przepędził.

Jeżeli brakło mu czasu na odwiedzenie wszystkich, którzy potrzebowali jego pomocy, posyłał zamiast siebie organistę, który mawiał potem często:

— Jeżeliby ulice miasta naszego były wybrukowane złotem, prędko mielibyśmy je niebrukowane, gdyby brukiem tym rozporządzał O. Teobald. Onby wszystko oddał ubogim.

Szczególną miłością otaczał O. Teobald małe dziatki, a zwłaszcza sieroty.

— Kiedy widzę na ulicy głodne i oberwane dziecko, to zdaje mi się, że to sam Chrystus, Syn Boży, szuka przytułku i że ludzie mu odmawiają.

Wogóle o niczem O. Teobald nie mówił tak często i z takiem przejęciem, jak o stosunkach ludzi między sobą, o wzajemnej braterskiej miłości.

— Bóg jest Ojcem nas wszystkich. Wszyscyśmy Jego dziećmi. Cała ludzkość jest rodziną Bożą, w której wszyscy powinniśmy wzajemnie sobie pomagać. Patrzcie, jak w rodzinie wszyscy starają się ulżyć choremu w cierpieniach. Wszyscy chodzą na palcach, mówią szeptem, myślą o tem, żeby pomódz do wyzdrowienia. Dlaczegoż w ogólnej ludzkiej rodzinie nie staramy się o pomoc nieszczęśliwym? Cierpią ludzie od chorób, ciemnoty i ubóstwa, pomóżmy znosić bliźnim te ciężkie chwile. Starajmy się podtrzymać słabych, obudzić w nich miłość i wiarę w życie. Bóg chce, żebyśmy byli szczęśliwi, a w miłości wzajemnej ludzi ku sobie leży niewyczerpane nigdy źródło szczęścia.

Po jednem z takich kazań pewna dama powiedziała do innego księdza swego gościa:

— Prześliczne było dzisiaj kazanie O. Teobalda, byłam niem do głębi wzruszona.

— Pani — odpowiedział na to ksiądz — całe życie O. Teobalda jest jedną wielką nauką, nietylko trzeba nam się niem zachwycać, ale powinniśmy naśladować je.

Słyszano nieraz ludzi mówiących:

— Szczególny to człowiek O. Metieu. Słowa jego posiadają jakąś ukrytą siłę. Znacie historyę mojej kłótni z sąsiadem — mówił burmistrz. — Nie mogłem znosić imienia mego nieprzyjaciela, pomimo że pracujemy razem; smutno mi samemu nieraz było, że tak go nie lubię, ale nie mogłem pogodzić się za nic. Pewnego razu przychodzi do mnie O. Teobald, ujął mnie za rękę i zaczął namawiać do zgody. Żeby to się stało przed trzystu albo czterystu laty, powiedziałbym, że to są czary, że O. Metieu jest czarodziejem, że mię zaczarował mową swoją. Nic on, zdaje się, szczególnego nie mówił, a czułem najwyraźniej, że po każdem jego słowie coraz mi cieplej robiło się na sercu. Skończyło się na tem, żeśmy się pogodzili z sąsiadem i teraz tak miło pracować razem.

Doprawdy, to pewnie czary.

Tak, były to czary prawdziwej miłości, którą było przepełnione serce O. Teobalda. Gdyby pomiędzy nami było więcej czarowników takich, posiedlibyśmy wkrótce czarowne królestwo prawdziwej miłości braterskiej. Szkoda tylko, że często uważamy królestwo to za niemożebne do wprowadzenia w życie, nam się zdaje, że to bajka, która nigdy prawdą stać się nie może.

Żył wtedy w mieście Cork pewien człowiek imieniem Wiliam Martin. Całe życie swoje poświęcił on walce z pijaństwem. Zwoływał zebrania, wygłaszał mowy, pisał artykuły do gazet, w których namawiał, zaklinał ludzi do zaniechania pijaństwa. Poznał się on z O. Teobaldem i zaprosił go do wspólnej pracy w mieście Cork, a za każdym razem, gdy posłyszeli od więźniów, że odsiadują karę za występki popełnione w stanie nietrzeźwym, powtarzali:

— Ot nieszczęście prawdziwe! Czy to tak zawsze będzie? Czyż na to wszystko można patrzeć spokojnie?

Ojciec Teobald miał wielką ochotę zabrać się do walki z pijaństwem, ale wiedział, że ta sprawa wymaga ogromnej pracy, a miał jej i bez tego za dużo.

— Żałuję chorych i ubogich moich — mówił O. Metieu — kto ich odwiedzać będzie!

— Wypowiedzcie, Ojcze, wojnę wódce — namawiał Wiliam Martin — to się zamkną karczmy, mniej będzie więzień, mniej chorych, mniej ubogich. Zapędźcie słowem czarodziejskiem waszem szatana pijaństwa do piekła, a życie uwolni się od połowy nieszczęść i występków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TO I OWO.

OSTROŻNOŚĆ NIE ZAWADZI.

Pewien gospodarz wiejski zaczął już starzeć się, a dzieci ciągle nań nalegały, aby im spadek po sobie jeszcze za życia oddał, za co przyrzekli żywić go i odziewać aż do śmierci, jak to na uczciwe i wdzięczne dzieci przystało. Ale starzec zawsze tylko potrząsał głową i ustawicznie do wiosny to odkładał. Gdy wreszcie wiosna nadeszła i wróble gnieździć się już zaczęły, ów gospodarz, wypatrzywszy jedno gniazdo, w którem już były pisklęta, wybrał je, wsadził do klatki i wywiesił przed swojem oknem. Niezadługo starzy rodzice usłyszawszy pisk młodych wróbląt, przyleciały i zaczęły je karmić przez szczeble od klatki, okazując im wielką przy tem staranność i przywiązanie. Już małym ptaszkom skrzydła urosły, a rodzice z tąż samą karmiły je pieczołowitością. Gdy już same latać mogły, nastawił gospodarz sidła, i schwytał rodziców a wypuścił młode, które natychmiast z radością uleciały. Starym zaś, w tejże samej klatce osadzonym, nie dał gospodarz ani jeść, ani pić, spodziewając się, że młode przylecą i z wdzięczności karmić je będą. Ale napróżno. Stare wróbliska piszczały i piszczały, a żadne z dzieci nie przyleciało, by je nakarmić i napoić; i byłyby zapewne z głodu zdechły, gdyby się ktoś inny nad niemi nie był zlitował. Owóż stary zwołał dzieci i opowiedziawszy im całą przygodę, wypuścił stare wróble, mówiąc do dzieci: „Jak mi połapiecie stare i młode, oddam wam natychmiast całe mienie, a wy mię do śmierci żywić będziecie“.